

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Machabejskie pachole.

Idzie sobie pachole,
Pustą drogą przez pole,
Idzie boso nieboże,
I wciąga płacze... mój Boże!

Biedne polskie pachole...
Było bite znów w szkole;
Widać na rączkach rany,
Ach, mój Boże kochany!

I aresztem karana,
Głodem, znojem sterana,
Płacze biedna dziecina...
Ach, krew w żyłach się ścina!

Słaba... idzie powoli
Do dom z szkolnej niedoli,
Naraz zbacza pachole,
Pod krzyż z drogi na rolę.

Tu ta biedna dziecina,
Swe kolanka ugina,
Drobne składa rączeta,
Na krzyż wznosi oczęta.

Liczko łzami zroszone,
Całe bólem wzruszone
Skarży Bogu pachole,
Że cierpieć musi w szkole.

Ojcie, któryś jest w niebie,
Nigdy chwalić ja Ciebie
Nie będę po obcemu,
Daj wytrwać dziecku Twemu.

Matka z siedmiu braci
Za prawo tyłem płaci

I Betleemskie matki,
Za Ciebie tracą działki.

Więc też za te katusze,
Przyjm Jezu moją duszę,
Cięższe zniosę za Ciebie,
Gdyż za nie będę w niebie!"

Głęboczek.

Ludgarda.
(„Dzien. Pozn.“)

Szczęśliwy kraj.

Ojciec i matka z dwojgiem dzieci, żyli na odludnej wyspie w pośrodku oceanu, gdzie zostali wyrzuceni po rozbiciu się okrętu. Korzonki i zioła służyły im za pokarm, źródło słodkiej wody gasiło pragnienie, a grotą była ich mieszkaniem. Ciężkie burze i huragany nawiedziły tę samotną wyspę.

Dzieci nie przypominały sobie, jakim się tam sposobem dostały, pamięć o stałym lądzie, gdzie przyszli na świat, zupełnie się w ich główkach zatarała. Chleba, mleka i owoców ani gorących potraw nie знаły wcale.

Jednego dnia, niewielka łódka, na której znajdowało się czterech murzynów, przybiła do brzegu ich schronienia. Rodzice uradowali się bardzo, bo serca ich zadrzały nadzieją wyswobodzenia. Ale nieszczęściem, łódka zbyt małą była, aby mogła całą rodzinę razem przeprowadzić na stały ląd; ojciec więc pierwszy chciał puścić się w niebezpieczną podróż.

Matka i dzieci gorzko płakały, widząc go wsiadającego na wąty statek, i czterech murzynów gotowych do drogi. Ale ojciec rzekł:

— Nie płaczcie, tak będziemy szczęśliwi, bo wkrótce i wy popłyniecie za mną.

Skoro łódź powróciła po matkę, dzieci jeszcze gorętszemi zalewały się łzami; ale i ona rzekła:

— Nie płaczcie, zobaczymy się w szczęśliwym kraju.

Nareszcie łódka po raz trzeci przybyła do wyspy dla zabrania dwojga pozostałych dzieci. Biedne dzieci drżały z bojaźni na widok czarnych ludzi; ich trwoga jeszcze się bardziej zwiększyła, gdy uczuły kołysanie drobnej łodzi, na falach niezmiernego okiem oceanu. Strach mimowolny nie odstępował ich przez całą drogę, aż do samego wylądowania.

Ale jakaż była ich radość, gdy rodzice wybiegli na brzeg, podali im ręce, zaprowadzili pod cieniste palmy, gdzie na ubarwionej kwiatami murawie, nasycili ich miodem, mlekiem i wyborami owocami.

— Oh! jak niedorzeczną była nasza obawa, — wołały dzieci. — Zamiast się lękać, powinniśmy się byli raczej cieszyć, gdy czterej czarni ludzie przybyli zabrać nas do tego kraju, daleko piękniejszego i szczęśliwszego, niż nasza dzika wyspa!

— Drogie dzieci — rzekł na to ojciec — nasza przeprawa z samotnej wyspy do wspaniałego kraju, gdzie znajdujemy się obecnie, ma dla nas daleko wyższe znaczenie. Mamy przed sobą jeszcze jedną podróż, do kraju daleko szczęśliwszego niż ten. Cała ziemia, na której żyjemy, podobna jest do wyspy; kraj rozkoszny, do któregośmy teraz przybyli, jest zaledwie słabem wyobrażeniem nieba, a wiodącą do niego drogą, jest uczciwe życie i śmierć. Łódka, co nas tu przeprowiła, będzie trumna, którą czterej czarno ubrani ludzie złożą do grobu. Jednakże, gdy nadejdzie chwila rozstania się z tym światem, bądźcie odważni; bo dla każdego, co żył pobożnie, pracowicie, kochał Boga i bliźniego, uległ z pokorą najwyższemu niebios wyrokowi, śmierć jest tylko podróżą do szczęśliwego kraju.

Nie lękajcie się śmierci, gdy w ostatnią chwilę, Przyjdzie was ukolysać i złożyć w mogile; Zgon, to wielki ocean, który przebyć trzeba... Tą drogą, Bóg cnotliwych prowadzi do nieba.

Poświęcenie matki.

Na wybrzeżach północnej Ameryki, w kraju pokrytym prawie ciągle lodem i śniegami, żyją Eskimosi. Razu pewnego dwoje ludzi z tego plemienia, mąż i żona przeprawili się przez rzekę wozbraną wodą. Ich łódka ze skóry była tak mała, że ich zaledwie mogła utrzymać. Na samym środku rzeki pod wody zagrażał im wielkim niebezpieczeństwem. Łódka, zbyt ciężka

obciążona, zanurzała się z nimi; trzeba koniecznie było ująć ciężaru. Powstała między żoną a mężem sprzeczka, kto z nich ma życie swoje poświęcić dla dziecięcia, które zostało w domu.

— Ja — rzekł mąż — bo dziecko jeszcze jest małe, nie może się obejść bez matki; ty dla niego i mów mu czasem o ojcu, gdy cię już zrozumieć potrafi.

Już się rzucał w rzekę.

— Wstrzymaj się — zawoła żona — czyś się zastanowił nad tem, co czynisz — mówiła dalej, a niebezpieczeństwo jakkolwiek wielkie, pozwoliło jej następujące uczynić przedstawienie:

— Kochany mężu, syn nasz już mojej nie potrzebuje piersi, a więc się może obejść bezemnie. Ale ktoś mu ojca zastąpi? ktoś pójdzie na polowanie i połów ryb, ażeby go wyżywić? ktoś go w późniejszym wieku nauczyć władać łukiem lub sieć zarzucać? Któż go bronić będzie przeciw nieprzyjaciółom? Nie, tyś powinien ocalić życie, a ja umrzeć.

Kończąc te słowa, rzuciła się w bałwany i zniknęła na zawsze.

O trzech braciach bliźniakach i o jednej czarownicy.

(Dokończenie.)

On jej podziękował za poradę, dał jej jałmużnę, siadł na konia i pojechał. Dojechał do tej chaty, gdzie ta czarownica była i od razu zapukał. Ona się krząta, gracił jakiegoś szatarcha, popycha — on wszedł, znowu uciekła za piec. Ale on krzyknął:

— Poczekaj ty szelmo jedna! To się ty będziesz przedemną chować!

Wziął szablę i uciął jej łeb. Potem wziął tę masę, poszedł do komory, tam zastał swoich braci, pomazał im szyje i oni wstali. Zabrali swoje konie i psy, co im ta baba pozabierała, wsiedli i wyjechali ztamtąd.

Jak pojechali — jada, napotkali znowu krzyżową drogę, ale już nie pojechali jak przedtem, tylko pojechali prosto. Ale się rozdzielili i każdy tam został, gdzie miał zamiar zostać. Więc jeden z nich ożenił się, wziął sobie bardzo ładną żonę, która go bardzo kochała.

Ano tak jednego razu poszedł na polowanie do lasu. Chodził po tym lesie i napotkał łanią, bardzo ładną łanią. Ta łania się blisko pasie, nie ucieka, więc sobie myśli, żeby tę łanią złapać dla swojej żony. Ale co ją chce złapać, to ta łania mu uchodzi, uchodzi, a on jej nie mógł złapać i nie mógł złapać i nie mógł nastarczyć iść za nią. I ta łania wprowadziła go w wielki gąszcz, a w tym gąszczu był domek; jemu się wydawało,

że to piękny pałac, a to było tak zaczarowane, żeby go zwabić. Więc on wszedł za tą łanią do tego domku, bo sobie myślał:

— Pewnie tu będzie mieszkać jaki leśniczy, to mi sprzeda tę łanią.

A tam w tym domku była ta sama czarownica z tym ogromnym kołosem na głowie jak miarka. Jak wszedł do izby, tak ta czarownica zaraz zatrzasła drzwi i zabiła go. A tymczasem żona czeka na niego, on nie przychodzi, zaczęła się okropnie trapić i lamentować. Tak poszła za nim do lasu, bo sobie myślała, że może chociaż trupa znajdzie w lesie. Idzie i spotyka drugiego brata, co szedł szukać tego zabitego. Pobiegła do niego i rzuciła mu się na szyję:

— A mój mężu! Czemu ty do domu nie przychodzisz? Takem się o ciebie strapiła, że cię nie widzę.

Ona go wzięła za swojego męża, bo był zupełnie podobniutki do niego. On się na nią wypatrzył, wypiera się, że on nie jest jej mężem, ale ona nie i nie i krzyczała na niego, galewała się, dla czego on się jej zapiera. Więc on się jej nie mógł oprzeć i poszedł z nią do domu. Podobala mu się zresztą i został. Pomyślał sobie, że dobrze się tak stało.

Ten trzeci brat dowiedział się ze swojego wina, że któryś z braci umarł, więc pojechał znów szukać. Ano więc znów idzie przez ten las i ta łania wybiegła naprzeciw niego; ale jemu się to niezwykle wydawało, coś go uderzyło i strzelił do niej. A z tej łani w tej chwili stało się małe źrebię, dla tego, że ta czarownica zamieniała, żeby ludzi zwabić, źrebiątko w łanią. Dosyć na tem, jak strzelił, więc go zdziwiło, że z łani potrafiło się zrobić źrebiątko. Więc idzie sobie dalej, patrzy się i zobaczył ten domek. Patrzy się przez okno i zobaczył tę starą czarownicę, którą zabił przed kilku laty.

— Aha ptaszku! Mam cię!

Wszedł do chałupy, zaraz wymierzył do tej czarownicy i strzelił. Ale jej nic nie zrobił, nic się jej nie stało. Strzelił drugi raz, ale i tą razą jej nic nie zrobił. Trzecią razą powiedział:

— W imię Jezusa Chrystusa! Padniesz, czy nie?

I strzelił do niej i od razu ją zabił. Jak ją zabił, wziął maść, poszedł do tej komory i zastał nieboszczyka brata zabitego, pomazał mu szyję i ten wstał. Jak wstał, tak wziął tego brata i zaprowadził do swojej żony, bo się chciał poznać przed swoim bratem, że ma żonę ładną i dobrą.

Przychodzi do domu, a żona siedziała i rozmawiała z tym bratem pierwszym. Chce się witać jako mąż z nią, a ona go odpycha, że on nie jest jej mężem, że ten jest jej mężem, którego ona w lesie znalazła. Tak nie mogli się pogodzić w żaden sposób. Więc on się zgniewał na nią, że ona się go wypiera i powiedział, że nie

jest jej mężem — teraz on się zaczął wypierać. Wszyscy się teraz zaczęli jej wypierać, że żaden nie jest jej mężem, ten pierwszy z miłości dla brata też się jej wypierał.

Więc ona się okropnie zmartwiła, nie wiedziała teraz, co ma robić — i pomyślała sobie:

— Ten będzie moim mężem, którego się przyzna do mnie.

Wzięła pecherz — kazała słudze zabić karkę i napełniła ten pecherz krwią i włożyła sobie pod gorset. Przychodzi do pokoju i mówi:

— Któż się do mnie nie przyzna, że jest moim mężem, to się zabije.

Wzięła nóż i przebiła się. Krew się zaczęła okropnie lać, ten mąż się przeląkł, że ona naprawdę się zabiła, zaczął mdleć i też się chciał zabić. Ona widząc, że to jej mąż jest, rzuciła się mu na szyję, zaczęła go przeproszać i prosić, żeby nie robił głupstwa, że ona przecie żartowała.

Wtenczas dopiero powrócili wszyscy, ten z żoną i ci dwaj bracia do domu i zastali matkę już konającą prawie, która im zaledwie mogła pobłogosławić.

Ukarany krzywoprzysięsca.

Było to dawno. W czasach tych mieliśmy więcej ludzi uczciwych jak dziś. Słowo dane przysięgieli, było święte, a łamać je, czyli niedotrzymywać używano za ciężki grzech. A było to dobrze, bo lud się tak nie procesował jak dziś i nie płacił ciężko zapracowanego grosza sądom i adwokatom.

W wiosce Smoguszowie pożyczyl był jeden sąsiad drugiemu dwieście talarów pieniędzy. Gdy nadszedł czas oddania tej sumy, poszedł poczciwy Szymon do swego sąsiada Macieja, aby je oddać. Maciej zaś, który w młodych latach waleczał się po świecie i wiele złych rzeczy się nauczył, odprawił Szymona z niczem i pieniędzy oddać mu nie chciał.

Szymon kilka razy prosił jeszcze Macieja o zwrot pieniędzy, lecz ten się z niego śmiał szydząc:

— A czy ty masz jaki weksel, kwit lub coś? Nie ma głupich! Skarz mnie do sądu, zobaczymy, czy co wskórasz.

Szymon rad nie rad musiał zaskarżyć Macieja.

W oznaczonym przez sędziego dniu, zjawili się w sali sądowej. Maciej trzymał w ręce grubą kij, w którym potajemnie ukrył dwieście talarów. Gdy przyszło do składania przysięgi, chryty Maciej podaje ów kij z pieniędzmi Szymonowi do trzymania. Sam podnosi rękę w górę i przysięga, że Szymonowi oddał pieniądze.

Sędzia sprawę rozstrzygnął na korzyść Macieja. Poczciwy Szymon aż się rozplakał, że jego

sąsiad wobec Boga krzywoprzysięgi. Mniej już mu było tych pieniędzy żal, jak Macieja duszy, którą dyabłu zaprzedał.

Wychodząc ze sali sądowej, odebrał napcwrot Maciej ów kij od Szymona i rzecze:

— Sąsiedzie, ja ci pieniądze oddałem. Tak, oddałem ci w twoje ręce.

Wtem potyka się Maciej o kij, spada z kamiennych schodów na ziemię, łamie kij i rozbija sobie głowę. Zbiegli ludzie, podnosząc nieżywego Macieja i ów złamany kij, w którego wydrążeniu znaleziono dwieście talarów. Tak tedy ów nieszczęśliwiec, dając do trzymania Szymonowi kij, sądził, że śmiało może przysięgać, że oddał pieniądze.

Bóg ukarał chytróść i krzywoprzysięstwo Macieja, który pocziwego Szymona chciał c-szukać.

Pan Bóg często zaraz po popełnieniu grzechu człowieka karze. Przysięga to rzecz święta. Nigdy nie powinniście nadaremnie przysięgać, a jeżeli koniecznaie kto przed sądem przysięgać musi, to niech przysięga szczerze, bo nie wie, czy podobny jak Macieja nie spotka go los.

Mądre Niemcy.

Jeden z obywateli z Królestwa, spotkawszy na targu włościanina z pod Kalisza, który ze Saksów z roboty wrócił, pyta się go:

— No, jakże wam u tego Niemca? Lepiej wam u niego, niż w domu w Kaliskiem? Wszak z Kaliskiego jesteście?

— A tak, z Kalisza, z Wielunia. Pan znają tamte strony? Jak ta Panu powiedzieć? No, dobre jest. Jak kto sobie pilnuje, to jest całkiem dobre. Tylko akuratności trza dużo. Na ten przykład, na czas być na robocie, narzędzia nie zmarnować, na miejscu wszy ko położyć, to i już. Płaci co tydzień akuratnie, za każdą godzinę pracy powyżej umówionego też płaci; ho! Niemcy mądre są.

— Czemu mądre?

— A bo mu stać tyle płacić. Nasz by dziecko z torbami posed, kieby tylo płacić począł.

— Czemu to, jak myślicie?

— A no, u Niemca to się nic nie marnuje. Ni z korzenia, ni ze ziarna, i z liści, nie! Co na rynek, co do miasta, co bogatemu sprzeda, co biednemu, co na nawóz i tak wszystko; a kole roli to ciągiem studeruje; una mu ciągiem zasiana. Spójrz pan, żyto w mędlach stoi, a wyka z grochem i łubinem już pomiędzy mędle wzeszła, on to potem popiołem posypie i znów zaorze i tak ciągiem. Do fabryki z burakami, z fabryki z powrotem do majątku; sznycle dla krów, wapno

na pole. A wszystko temi kolejkami pólnemi i buraki z pola i na fabrykę i nawóz na pole; toć para wołów wlecze 10 wagoników, każdy po 30 cetnarów! On chwili pracy, ni narzędzia, ni bydlęcia, ani też człowieka nie zmarnuje. Ho, ho, mądry Niemiec! Jemu wszystko dochód ma dać!

Tak mówił nasz Maciek z pod Kalisza tonem głębokiego przekonania, lekko na bok przechyliwszy głowę, zapatrzony w dal na suty plon, dźwigające niemieckie pola...

A kiedyto nasi nauczą się tak gospodarzyć, jak Niemcy, aby robić u siebie na swej świętej ziemi, a nie krwią i potem swym obrabiać Niemców i dawać im majątki na naszą własną skórę!

Kwiatki na grobie.

Zyla na świecie mała, biedna dziewczeczka, której na imię było Marta. Nieszczęśliwej dziecinie ojciec dawno już umarł, a teraz pochowała matkę. Marta miała dziewięć lat. Biednej dziecinie samej smutno było na świecie.

Pewnego dnia Marta poszła na cmentarz. Najpierw udała się na grób ojca, starannie utrzymywany przez matkę i jeszcze za jej życia krzyżem ozdobiony. Potem poszła na świeżą mogiłę matki.

Na około było wiele innych grobów. Wszystkie miały albo krzyże albo pomniki, — na wielu znajdowały się piękne róże i inne kwiaty.

— Ach, — pomyślała biedna Marta i westchnęła głęboko, — żebym ja też miała tyle pieniędzy, abym mojej matce choć prosty krzyżyk postawić mogła i choć kilka kwiateczków zasadzić. Ale nie mam ani grosza. — I Marta smutnie główkę pochyliła.

Po chwili powstawszy, zawołała: — O moja najdroższa matko, będziesz miała krzyżyk i będziesz miała kwiatki. Na polu i na łące są tysiące kwiatów; ztamtąd ich nazbieram i zasadzę je na twoim grobie, kochana matko!

I już następnego dnia cały grób był różnemi polnemi kwiatkami obsadzony; najwięcej było rozchodniku.

W środku ułożyła krzyżyk z samych niezapominajek. Niezapominajki rosną bardzo prędko, a rozchodnik bardzo łatwo się rozrasta. — Wkrótce cały grób zakwitł różnemi kwiateczkami, a wśród nich najpiękniej oznaczał się krzyżyk niebieski.

Dobre dzieci za życia rodziców są ich rozkoszą; po ich śmierci zaś pamiętają o nich w modlitwie i grób, w którym ukochane zwłoki są złożone, starannie utrzymują.